

Nieszczęsny dział *Informatyzacja*

W porządku prawnym w Polsce funkcjonuje pojęcie *działów administracji rządowej* odpowiadających głównym obszarom działalności rządu. Każdy premier Rzeczypospolitej Polskiej może te działy według własnego uznania komponować w ministerstwa, musi jedynie każdy dział do jakiegoś ministerstwa przydzielić. Niektóre działy, takie jak gospodarka, finanse publiczne czy sprawiedliwość, są zawsze wyznacznikami ministerstw – w każdym rządzie jest ministerstwo gospodarki, finansów i sprawiedliwości. Inne działy są po prostu przypisane do ministerstw. Czasami ich nazwy pojawiają się w nazwie ministerstwa, co zawsze świadczy o randze, jaka jest im przypisana przez aktualnego premiera.

Jednym z działów administracji rządowej jest dział *informatyzacja*. Dział ten obejmuje 10 spraw, z których pierwszą i najważniejszą jest informatyzacja administracji publicznej. Dział *informatyzacja* został ujęty już w ustawie o działach administracji rządowej z 1997 roku i w niezmienionej postaci dotrwał do dzisiaj w obowiązującej obecnie ustawie o działach z 2013 roku.

Dział *informatyzacja* okazał się twardym orzechem do zgryzienia dla każdego premiera, który komponował swój rząd. Każdy premier wiedział, że ten dział jest bardzo ważny, bo jest warunkiem nowoczesności i efektywności działania państwa, ale chyba żaden nie wiedział jak z nim postąpić, by doprowadzić do skutecznego załatwienia spraw, które do niego przynależą. Pierwszy raz informatyzacja wyszła na powierzchnię w 2001 roku w rządzie Leszka Millera, który przemianował Ministerstwo Nauki na Ministerstwo Nauki i Informatyzacji. Pierwszym ministrem informatyzacji – nie wyłącznie, ale jednak – był prof. Michał Kleiber, który pozostał na tym stanowisku również w dwóch rządach Marka Belki do 2005 roku. Pod rządami ministra Kleibera informatyzacją zajmowało się kolejno dwóch wiceministrów. Powierzając w 2001 roku informatyzację ministrowi nauki wychodzono pewnie z założenia, że jeśli ktoś się na tym zna w Polsce, to właśnie naukowcy. Wśród naukowców nie brakowało osób znających się na informatyce, ale szybko okazało się, że minister nauki nie może zreformować funkcjonowania administracji państwa niezależnie od tego, co jest napisane w ustawie o działach. Pewnie dlatego w dwóch kolejnych rządach: Kazimierza Marcinkiewicza (2005-2006) i Jarosława Kaczyńskiego (2005-2007) dział *informatyzacja* przypisano ministrowi spraw wewnętrznych i administracji. W tych dwóch rządach tę funkcję sprawowały kolejno trzy osoby: Ludwik Dorn, Janusz Kaczmarek i Władysław Stasiak, a wiceministrami były dwie osoby. Połączenie administracji z informatyzacją wydawało się najbardziej logiczne, tym bardziej, że Ludwik Dorn był także wicepremierem, a więc mógł – co najmniej teoretycznie – wymóc informatyzację na innych ministrach w ich resortach. W praktyce okazało się szybko, że to tak nie działa.

Po utworzeniu pierwszego rządu Donalda Tuska informatyzację pozostawiono w gestii ministra spraw wewnętrznych i administracji, którą to funkcję pełnili kolejno Grzegorz Schetyna i Jerzy Miller, a wiceministrami były kolejne dwie osoby. Grzegorz Schetyna był ponadto wicepremierem, więc znowu wiązano z nim wielkie nadzieje na kompleksową informatyzację administracji. Skończyło się jedynie na podziale pieniędzy unijnych na projekty. W drugim rządzie Donalda Tuska utworzono osobne ministerstwo Administracji i Cyfryzacji, które objął Michał Boni. W tym ministerstwie aż siedem osób, częściowo razem, częściowo po sobie zajmowało się informatyzacją przemianowaną na cyfryzację. Po dwóch latach od utworzenia, ministerstwo Administracji i Cyfryzacji przejął aktualnie Rafał Trzaskowski.

W ciągu 12 lat, od kiedy jest wola polityczna zajęcia się problemem informatyzacji administracji, mieliśmy w Polsce 7 rządów, 5 premierów, 8 odpowiedzialnych ministrów i 12 odpowiedzialnych wiceministrów. Nie ma natomiast żadnego stałego ośrodka eksperckiego, który kierowałby się wyłącznie racjami merytorycznymi, i potrafił powiedzieć kolejnym premierom, ministrom i wiceministrom jak tę informatyzację całościowo przeprowadzić. Przy takiej zmienności naturalna jest akcyjność – najczęściej wielkie plany po objęciu stanowiska, strategie, koncepcje i ekspertyzy zamówione na przetargach, próby niezbędnej zmiany prawa ciągnące się w nieskończoność, ewentualnie rozdawanie pieniędzy (jeśli są, a bywają unijne) na silosowe, niezintegrowane projekty – i tyle, trzeba odchodzić. Tymczasem stare informatyczne przysłowie mówi, że komputery dodane do bałaganu tworzą bałagan kosmiczny. Byliśmy tego wielokrotnie świadkami. Ale to nie komputery i nie informatycy są temu winni, tylko ten pierwotny bałagan – prawny, organizacyjny, kompetencyjny itd. Sensem informatyzacji jest przede wszystkim uporządkowanie administracji, jej uproszczenie i poprawa jej efektywności dzięki automatyzacji realizowanych w niej rutynowych procesów, które mogą być inicjowane zdalnie. Żaden polityk, który – jak pokazuje dotychczasowa historia – dostaje władzę średnio na półtora roku, nie jest w stanie temu wyzwaniu sprostać. Dlatego utworzymy w Polsce na najbliższe 10 lat taki niezbędny, apolityczny, propaństwowy i prospołeczny *instytut e-administracji*, aby politycy wiedzieli co robić. Bo my, obywatele, zasługujemy na sprawne państwo.